

JOANNA PARASIEWICZ

PRZEPOWIEM
CI
PRZYSZŁOŚĆ

© Wydawnictwo WAM, 2024
© Joanna Parasiewicz, 2024

Opieka redakcyjna: Agnieszka Ćwieląg-Pieculewicz
Redakcja: Anna Śledzikowska
Korekta: Maria Armatowa, Katarzyna Onderka
Projekt okładki: Mariusz Banachowicz
Skład: Lucyna Sterczewska

ISBN 978-83-277-3456-3

MANDO
ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków
tel. 12 62 93 200
www.mando.pl

DZIAŁ HANDLOWY
tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496
e-mail: handel@wydawnictwomando.pl

Druk i oprawa: POZKAL • Inowrocław

Publikację wydrukowano na papierze Ecco book cream 70 g vol. 2.0
dostarczonym przez Antalis Poland Sp. z o.o.

PROLOG

Paryż, grudzień 1918

Panuje zaduch i zaczyna brakować powietrza. Jest tłoczno, nie zgadnę jednak, ilu przyszło gości, bo nie znam tego miejsca, przyciemniono zresztą światła, jakby starano się mnie nie spłoszyć – to pierwsze, co przychodzi mi na myśl i wydaje się zabawne. Doktor Kellner odwzajemnia mój uśmiech i lekko nachyla się w moją stronę, pytając, czy aby na pewno nie trzeba mi wody. Mówi po francusku poprawnie, ale z wysiłkiem, bez wrodzonej swobody. Potem kiwa zachęcająco, abym zaczęła mówić, wszyscy przecież czekają. Przyszli tu dla mnie, więc się niecierpliwią, a ich ciekawość jest tak gęsta, że niemal oblepia mi skórę, i czuję ciężar ich spojrzeń, które łowią każdy mój ruch; jestem przecież sławna. Od historii z „chłopcem z sadzawki” moja strwożona twarz straszyla na pierwszych stronach chyba wszystkich paryskich dzienników i dopiero wtedy się dowiedziałam, że tyle ich jest. Potem zrobiono zdjęcia, na których już wcale nie przypominałam

siebie, i Marta stwierdziła, że są zdecydowanie lepsze, by je wziąć jako fotografię na nagrobek, bo nikt wieczny nie jest.

Ciekawe, czy teraz goście porównują mnie ze zdjęć z tą osobą siedzącą przed nimi, ale skoro tu są, zapewne czytali te gazety albo choć o mnie słyszeli.

„Nawet nie wiesz, jak wszyscy są ciebie ciekawi, Marie”, przekonywał doktor Kellner, który siedzi tak blisko, że czuję nuty jego wody kolońskiej i goździków, które ma zwyczaj podgryzać, gdy jest podenerwowany. Włosy ma ułożone w lekkie fale, w szalenie modną teraz w Paryżu fryzurę typu chester, jedną z tych „na chłopca z frontu”. Wielka wojna przyniosła bowiem dużo nowego: nam skróciła sukienki, mężczyznom włosy, a wielu pozabierała ręce i nogi. Pod nosem doktor Klaus Kellner nosi cienki wąsik w typie *pencil*, na nosie zaś połyskują binokle na srebrnym łańcuszku, które dostał od matki. To akurat sam mi powiedział, bo przecież nie jest tak, jak twierdzą niektórzy, że wiem wszystko.

– Jakie wszystko, Marie?

Doktor spogląda pytająco, chyba musiałam powiedzieć ostatnie słowa na głos. Zbieram się w sobie, chciałabym móc stąd zniknąć, a im szybciej powiem, co będą chcieli usłyszeć, tym prędzej ten spektakl się skończy.

– To wygląda zwykle tak samo – zaczynam, a pokasywania i szepty milkną. Powinam się pewnie przywitać, ale on podejmuje skwapliwie.

– Czyli jak? Mogłabyś to precyzyjniej opisać, Marie? Proszę, spróbuj najprostszymi słowami.

– Najpierw czuję mrowienie w końcówkach palców. Takie delikatne i łatwo je przeoczyć, więc czasem bywa, że nie zauważam, gdy opuszki swędzą, nim nie dotknę tej osoby, jej dłoni albo rękawa palta i wtedy... – poprawiam się na krześle – wtedy to widzę.

ROZDZIAŁ I

Marie

Montmartre 1907

Podobno światło w kolorze miodu można zobaczyć właśnie na Montmartre. Mówiono też, że wzgórze ma duszę, a na pewno, o czym również byłam przekonana, własny zapach. Latem nasze wzgórze pachniało słodczą rozgrzanych rumianków, aromatem rozmarynu i pigw oraz spieczonej ziemi. Bezradnie spuszczone głowy słoneczników oplatał zapach cukrowych rogalików z pobliskiej cukierni Babette i zostawiał na języku lepką słodycz. Na wystawie cukierni gipsowe eklery blakły od słońca, kurzyły się tarty z *papier mâché*, a przez płukaną deszczem witrynę pokazywało się język pucułowatym smarkaczom wylizującym pucharki z crème pâtissière. Nas nie było stać na cytrynowy crème pâtissière, ale przedrzeźniać i robić głupie miny można było całkiem za darmo.

Wzgórze od strony cukierni opadało stromym stokiem, jakby ktoś odkroił jego kawałek ostrym nożem. Mijając Babette i schodząc w stronę rzeki, wdychało się swojskie nuty

z przydomowych kurników oraz gryzącą woń gnojówki wylewanej wprost na drogę. Odurzała świeżością skoszona trawa zgarnięta w nierówne kupki. Służyła nam za kryjówek skarbów podczas pysznych zabaw, gdy ciskaliśmy w siebie skibami gliny wprost ze świeżych kretowisk: ja, mój brat Marcel, Lili oraz gruba Alberta, jeśli akurat nie wypisywała: „Świeć Panie nad jego duszą” albo „Na zawsze w naszych sercach”. Te i inne poważne słowa gruba Alberta kaligrafowała na papierowych szarfach wieńców w zakładzie swojego ojca, ponieważ jako jedyna z nas potrafiła już czytać i pisać.

– W życiu nie chciałbym mieć czegoś tak paskudnego na własnym grobie – zarzekał się Marcel i wtórowała mu w tym Lili, ponieważ zwykle zgadzała się z moim bratem we wszystkim. Wówczas gruba Alberta pokazywała nam język i obrażona szła do domu. Chyba lubiła słyszeć, jak krzyczeliśmy za nią, żeby wracała do zabawy. Czasem dołączał do nas Joachim, któremu przy pysznych zabawach obrywało się zwykle najwięcej. Joachim Barret był z nas największy, najbardziej niezdarny i za każdym razem najbardziej się denerwował, nie mogąc za nami nadążyć.

– Nie maż się tak, Joachim – wołał Marcel, mierząc w niego porcją błota.

– Ej, fajtłapa, fajtłapa! – dołączała Lili.

Był okropnie śmieszny z tymi płaczącymi się nogami, z tym dziecinnym zaciętrzewieniem. Niby taki duży, wyższy przecież od Marcela i papy, a nie umiał nikogo złapać, dogonić, nawet mnie, najmłodszej ze wszystkich. Nie próbował zresztą, zatrzymywał się w połowie drogi i ciskał w naszą stronę skibami gliny,

a z każdym pudłem dyszał mocniej rozsierdzony. Zdarzyło się kilka razy, że umyślnie zwalniałam, by dać mu fory, ale wtedy Joachim wściekał się nie na żarty.

– Idź do diabła, Marie, słyszysz?! Jesteś tak samo głupia jak twój brat i Lili! Skończona idiotka!

Tarł rękawem oczy, ze wszystkich sił starał się dzielnie trzymać i nie płakać, a ja patrzyłam, jak brunatne smugi ociekały mu z włosów, szyi i rękawów zbyt długiej koszuli, wywiniętych na kanciastych i zawsze obitych łokciach. Było mi naprawdę przykro, chciałam do niego podejść, powiedzieć coś miłego, że przecież to nic, taka głupia zabawa, i żeby się nie wygłupiał, ale gdy się odważyłam, splunął przed siebie.

– Odczep się, Marie, słyszysz? Jesteś głupią idiotką.

Obracał się na pięcie.

– Głowa za nogami nie nadąża – wzruszała ramionami Lili. – Babka Adela mówi, że jak kto za duży urósł, to i makówkę ma daleko od ziemi.

Może istotnie tak było. Może rzeczywiście Joachim Barret wyrósł za duży, bo jego postura przywodziła na myśl zbieranię elementów niedbale poskładanych w przypadkową całość. Wysoki wzrost jeszcze potęgował wrażenie niedopasowania poszczególnych części i podkreślał cielecą niezdarność. Partykowane ręce zwisały blisko szczudlastych nóg, a duże zęby i nos uwydatniały szczupłość jego twarzy. Nie, ani trochę Barret mi się nie podobał, więc tym bardziej się złościłam, gdy Lili z Marcelem wołali czasem za nami „zakochana para”. Jakżeż można by było tworzyć parę z kimś tak pokracznym jak Joachim Barret?

– Ejże, nie jest taki najgorszy, a ty nie możesz wiecznie kręcić nosem, moja droga – droczyła się Lili. – Nie marudź, Marie, bo babka mówi, że te najbardziej kapryśne zostają ostatecznie same jak palec, a taki Joachim, zobacz, i fach ma w ręku, i was utrzyma. No, już nie bocz się tak!

Poza rzucaniem w siebie błotem inna z pysznych zabaw polegała na przywiązywaniu czegoś możliwie obrzydliwego do drzwi Franza, szewca na wzgórzu. Franz za każdym razem okropnie się wściekał, a już najbardziej, gdy z impetem naciskał kłamkę, u której dyndały stare szmaty, puszek albo truchło gołębia. To Marcel wymyślił tę zabawę, ponieważ miał zwykle najgłupsze pomysły, i to on dostarczał potrzebne fanty: zdechłą żabę albo ususzonego szczura. Szczurów akurat kręciło się na wzgórzu pod dostatkiem mimo mnóstwa żeliwnych pułapek uparcie rozstawianych dokoła wiatraków i wewnątrz spichlerzy. Gdy Marcel mocował fant, reszta bacznie obserwowała okolicę. Przyczajeni, czekaliśmy w napięciu na sygnał, tłumiąc chichot. Na gromkie: „Odwrót!”, łomotał do drzwi, a reszta puszczała się pędem przed siebie. Najczęściej otwierał Adam, syn Franza, który wygrażał nam pięścią i tupał nogą, jednak wiedzieliśmy, że choć się okropnie złości, to nic nam nie robi. Ludzie mówili zaś, że gdy stara Franzowa była z nim w ciąży, musiała się czegoś wystraszyć i najpewniej dlatego Adam urodził się niemową. Nikt nie wiedział, czy tak było faktycznie, ale ludzie ze wzgórza zwykle znali przyczynę wszystkiego.

Najczęściej więc otwierał Adam niemowa i groził nam pięścią, ale raz zamiast któregoś z Franzów zza drzwi wyskoczył ich kundel i złapał Joachima za kostkę. Joachim rozdarł się przerażony,

a Marcel i Lili, zanosząc się śmiechem, złapali mnie za ręce i pogналиśmy w szalonym pędzie ze wzgórze. Po przygodzie z kundlem Joachim się obraził i nie odzywał do żadnego z nas przez następne dni. Ale to nie przez Joachima ani nie przez tego kundla przestaliśmy dawać się we znaki Franzom.

Któregoś dnia bowiem wzdłuż naszego płotu szła śliczna dziewczyna. Na pewno jej nie widziałam wcześniej i nie wiedziałam, co wywarło na mnie większe wrażenie: to, że trzymała Adama niemowę pod rękę, czy też to, że promieniowała wręcz zjawiskową urodą. Obie razem z Lili, z którą przebierałyśmy na ganku lalki, oderwałyśmy się od zabawy, by się jej lepiej przyjrzeć.

– O matko – wymruczała Lili – przecież ona wygląda jak ta... jak święta.

Dziewczyna jakby to usłyszała, bo razem z Adamem zatrzymali się na wprost naszej furtki i pomachali wesoło w naszym kierunku. Gapiłyśmy się teraz z otwartymi ustami i stwierdziłyśmy zgodnie, że na pewno musi być świętą, gdyż wyglądała tak, jakby zstąpiła wprost z kościelnego obrazu, takiego w szerokich złożonych ramach i z płynącymi z nieba promieniami łaski. Zostawiłyśmy lalki i podeszłyśmy bliżej, a ona uśmiechnęła się i zapytała o nasze imiona.

– Ja jestem Liliane, a to moja najlepsza przyjaciółka Marie. Ona tu mieszka i bawimy się razem w dom – pospieszyła Lili i dobrze, bo ja z wrażenia zapomniałam języka w gębie. Do dziś zresztą uważam, że nie spotkałam piękniejszej istoty.

– Pięknie – uśmiechnęła się słodko, cudnie mrużąc przy tym oczy. Miała duże oczy koloru miodu i włosy upięte w dobierany warkocz z wplecioną w nie wstążką w groszki. Zaraz

zapraǳnęłam teŝ tak mruŝyć oczy, gdy będę się uśmiewać, i no-
sić taki sam warkocz z identyczną wstążką.

– Ja jestem Marika Franz, a to mój brat Adam. Wiecie, gdzie
mieszkamy, prawda?

Lili pokiwała gorliwie, mnie zaś zrzęǳła mina, bo juŝ wie-
działam, że piękna Marika wraz ze swoim bratem pofatygowali
się do nas, by opowiedzieć naszemu papie o wszystkich głu-
potach, jakie wyprawiamy. Paliłam się więc ze wstydu, bo do
głowy mi nie przyszło, że siostrą Adama niemowly jest anioł.

– Bardzo nam miło – wychrypiałam.

– Zapraszamy – dodała Lili.

– Och, po stokroć ǳiękujemy, ale spieszymy się do miasta
załatwić sprawunki, nim wszystko zamkną. Nie mogłam sobie
jednak odmówić okazji, by was poznać, gdyż Adam duŝo mi
o was opowiadał dobrego.

Lili zerknęła na mnie zdumiona, jak to: „Adam jej opowi-
adał?”, jak to: „duŝo dobrego?”. A ja błagałam ją w duchu, by
tym razem nie odezwała się słowem.

– W takim razie do następnego razu – podchwyciłam z ulgą.

– Do następnego – uśmiewnęła się serdecznie Marika. –
Dobrego ǳnia zatem i pozdróǳcie swoich bliskich.

Gdy wreszcie odpłynęli, odwracając się co rusz i wesoło do
nas machając, stałyśmy jeszcze przy płocie dobrą chwilę.

– Ej, Lili, wiedziałaś, że Franze mają jeszcze córkę?

– Babka coś kiedyś wspominała, że ta ich Marika taka dobra
i uczynna, a do tego tka cudne gobeliny na zamówienie bogaczy
z całego kraju. A gdy nie tka, to pielęgnuje starą Franzową,
odkąd ta niedomaga.

- A czemu nigdy nie wychodzi się bawić?
- Nie wiem, może dlatego, że ona jest trochę inna niż my...
- Jak to inna?
- No inna niż wszyscy. Ponoć na jej ciele, nawet na czole, otwierają się rany, które krwawią, ale nikt nie umie powiedzieć, czemu tak się dzieje.

Wzdrygnęłam się, ponieważ to musiało być okropne. Naraz przestałam chcieć być taka sama jak piękna Marika.

- Myślisz, że to bardzo boli? To jakaś choroba?

Lili wzruszyła ramionami.

- Nie wiem, w każdym razie znieczulenie pojawiają się w jej skórze otwory, z których sączy się krew, a tej krwi nie da się niczym zatamować. Stary Franz ponoć woził i ją, i Adama do różnych lekarzy, pokazywał zagranicznym profesorom, ale każdy z nich rozkładał ręce, nikt nie wiedział, jak pomóc. No i tak zostało: jedno nie mówi, a drugie krwawi, ale chyba się wszyscy pogodzili, że tak musi być. W każdym razie dali spokój i już nigdzie z żadnym nie jeżdżą.

Starłam się wyobrazić sobie roześmianą twarz Mariki nagle zalewającą się krwią wprost z rozwartej rany na czole. To musiało być niewyobrażalne nieszczęście.

- Co byś wybrała, Lili? Nie móc wydusić ani słowa czy żeby ci się nagle robiły takie rany?

– Nie mam pojęcia, jedno i drugie wydaje mi się straszne.

– Ja nie chciałabym tak za żadne skarby.

– Hmm, a ja myślę, że ani jego, ani jej nikt nie pytał o zdanie – odparła po namyśle, a ja pomyślałam, jakież to szczęście, że mnie nie przytrafia się nic szczególnego. Mogłam być

całkiem zwyczajną dziewczynką, taką najzwyczajszą Marie Lenart.

Od tamtego popołudnia omijaliśmy jednak dom Franzów szerokim łukiem.



Do pysznych zabaw staraliśmy się nie zapraszać Ernesta. Nie zabieraliśmy go nad wodę ani nie proponowaliśmy „dzikich gonitw”, „podrzucania szczurów”, a nawet gry w patyki, ponieważ nasz przyrodni brat był jedynym dzieckiem, jakie znaleźliśmy, które nie umiało się w nic bawić i nie miało na zabawę najmniejszej ochoty. I pewnie w ogóle nie zwracalibyśmy sobie nim głowy, gdyby nie wieczne marudzenie Marty: „Idźcie, ale zabierzcie Ernesta”, „Weźcie z sobą Ernesta, on także chciałby z wami pograć”. Tylko że Ernest wcale nie chciał z nikim w nic pograć, my zaś nie chcieliśmy niczego robić z Ernestem, ponieważ wciąż się krzywił i nigdy niczego nie rozumiał. Tłumaczyliśmy mu na przykład, kiedy jest skucha, a kiedy spalony, o co chodzi, gdy coś się nie liczy, albo że należy zawołać „podbite gary”, a wcześniej trzeba się schować. Wszystko bez wyjątku kwitował, że to bezdennie głupie.

– Boże, Ernest, sam jesteś głupi – krzywił się Marcel i machał ręką, po czym zostawialiśmy go w spokoju.

On sam nigdy za nami nie szedł ani nas nie szukał, gdyż wcale nie pragnął naszego towarzystwa. Aż wreszcie Joachim stłukł go tak, że nawet Marta raz na zawsze przestała się domagać, by Ernesta gdziekolwiek zabierać.

Tego dnia bawiliśmy się w podchody i to był kolejny raz, kiedy staraliśmy się wyjaśnić mu zasady gry. Rzuciłam w przezwie, że lecę na stronę, i pobiegłam dalej, w krzaki. Normalna rzecz, bywało przecież nieraz, że sikaliśmy wszyscy wspólnie, odliczając czasem, kto dłużej. Kucnęłam, a po wszystkim wyprostowałam się, by podciągnąć majtki, i aż podskoczyłam, gdy się zorientowałam, że nie jestem sama. Zamarłam ze zsuniętą do kostek spódniczką, ze spuszczonej majtkami, a Ernest stał tuż przede mną i gapił się na moje podbrzusze. Patrzył z otwartą buzią i dziwnym wyrazem twarzy, który wracał później w złych snach.

– Co się tak gapisz, Ernest?

Odwróciłam głowę, przed nami zatrzymał się Joachim.

No już, spylaj stąd – rzucił w stronę Ernesta.

– Bo co?

– Bo gównno, bo dostaniesz kociej mordy.

– A może ty chcesz w mordę, Barret?

– A chcę!

I ruszył na Ernesta.

Nie wiedziałam, co robić, pobiegłam więc po Marcela. Gdy go znalazłam, wykrzyczałam, co się dzieje, i zjawiliśmy się wszyscy z powrotem. Joachim siedział na ziemi sam i rozcierał pięści.

– Cholera, Barret – splunął Marcel – mamy przez ciebie przesrane na chacie, wiesz o tym?

Prerażona liczyłam krople krwi na trawie i patrzyłam na nich, obydwa wydali mi się naraz całkiem dorośli...

– Ale zęby mu zostawiłeś?

- Nie wiem, aż tak mu się nie przyglądałem.
 - Niech to szlag! Tyle razy ci mówiłem, abys gówna nie ruszał, bo ta wariatka Marta nie da nam żyć. Nawet by srała za tego swojego synalka...
 - To jej powiesz, że synalek się prosił.
- Joachim wzruszył ramionami, a Marcel przeklął siarczyście.
- Mocno żeś mu wiał?
 - Jakby dupa ręce miała, toby się lepiej umiała bić.
 - Czyli bardzo?
 - Nie bardzo, bo on bić się też nie potrafi.



Pyszne zabawy miały jedną regułę – należało się trzymać możliwie najdalej od dorosłych, dorośli bowiem psuli wszystko. Za to można ich było naśladować.

- Maaaarie, kosz! – darliśmy się chropawym altem Marty. – Maaarie, do kroćset! Gdzie ta leniwa dziewczucha, na Boga?
- Liliane! Koniec tych głupot! – zrzędziliśmy głosem babki Adeli.

A już spotkać ojca Joachima to był prawdziwy pech. Zwłaszcza gdy Joseph Barret trzymał się jeszcze na nogach, bo jak już chrapał głośno w rowie, wyglądał zabawnie w zasikanych spodniach i z rozdziawionymi szeroko ustami, jakby się dziwował wszystkiemu. Do tych otwartych ust wrzucało mu się muchy albo glisty, a Joachim szedł potem do domu i gdy tak szedł, zdawał się bardziej zgarbiony niż zwykle. Więc my też wracaliśmy do siebie, do domów podobnych do wszystkich

innych na Montmartre, zbieraniny niewysokich i koślawych budowli, przycupniętych niezgrabnie na łagodnym stoku, rozrzuconych względem siebie w dziwacznych konstelacjach. Jedne patrzyły sobie w okna, inne zaś zasłaniały zazdrośnie skórzane, twarde liście makii. Najbliżej naszego domu ciągnął się wąski zagon, gęsto porośnięty dzunglą dzikiej marchwi, po którą schodziły się płochliwymi stadkami drzące staruszki, chybcząc się na cienkich nóżkach. Narzekały, że im się schylać za ciężko, więc za pół franka brały od nas wiechcie chwastów dla swoich wiecznie głodnych kóz, nutrii i królików.

– Pomyśl, Marie, jakież to musi być okropny pech urodzić się tak strasznie starym – szepnęła raz przejęta Lili.

– Jesteś pewna, że człowiek zjawia się na tym świecie już jako staruszka? – Wybałuszyłam na nią oczy, a ona spojrzała na mnie, jakbym spadła z księżycy.

– No a jak ty myślałaś, głuptasie? Albo, albo. To Pan Bóg wybiera, kogo mu brakuje, chłopców lub dziewczynek, dorosłych czy właśnie staruszków, bo musi być równowaga. Przecież nie mógłby istnieć świat pełen samych staruszków, bo kto by im zrywał tę marchew?

Pokiwałam głową i pomyślałam wówczas, jak to dobrze, że Lili tyle wie i jest niezwykle mądra, w końcu skończyła dziewięć lat, ja dopiero siedem, i dla mnie była zupełnie dorosła, prawie jak Joachim czy Marcel. W myślach też serdecznie podziękowałam losowi, że miałam szczęście urodzić się jako ja, a nie na przykład czyjaś babka. Urodzić się małą dziewczynką zdawało mi się najzupełniej satysfakcjonujące.

– Zresztą wyobrażasz sobie babkę Adelę jako małą dziewczynkę? Od razu urodziła się z garbem i całkiem pomarszczona, tylko oczywiście wówczas była duuuużo mniejsza.

Od kwietnia do czerwca wyprawialiśmy się na sąsiedni zagon na „ślimacze żniwa”, jak to kiedyś nazwał Marcel, dodając, że jesteśmy prawdziwymi mistrzami w łowieniu ślimaków. Brało się tylko te o twardych, całych oraz symetrycznych skorupkach i średnicy tak na pół palca, co najmniej trzech centymetrów. Najchętniej ciągnęły do piwa, więc wieczorem wlewało się go odrobinę do niewielkiej rynienki i z rana kręciło się ich tam całe mnóstwo. Nasze ślimaki sprzedawaliśmy na targu i za te poczciwe winniczki kasowaliśmy spory zarobek, który między nas sprawiedliwie rozdzielał mój brat.

– Wyobrażacie sobie, że te nasze ślimaki bulgoczą właśnie w pałacowej kuchni jakiegoś zamorskiego księcia albo są podawane na srebrnej tacy prawdziwemu bogaczowi w ragoût lub w jakimś smacznym gulaszu?

Jakoś nie potrafiłam sobie wyobrazić ślimaków z naszego zagonu ani w pałacowej kuchni, ani w ragoût na srebrnej tacy, ale ja od zawsze wolałam kładzione kluski ze skwarkami i bardzo się cieszyłam, że nie trzeba było na nie czekać, „aż przyjdzie sezon”, a tym bardziej wydłubywać ich z żadnej muszli. Podzieliłam się tym spostrzeżeniem z grubą Albertą, ale spojrzała na mnie z wyższością i orzekła, że stosunkowo niewiele wiem o życiu. Zasadniczo gruba Alberta była więcej niż przekonana, że o życiu wie z nas wszystkich najwięcej, zawsze się wymądrzała i lubiła mieć ostatnie słowo. Poza tym umiała czytać i pisać, a jej rodzina od dwóch pokoleń prowadziła dochodowy interes.

Zakład ojca grubej Alberty nazywał się Anielski Orszak, był jednym z dwóch zakładów pogrzebowych na Montmartre i jeśli akurat jej ojca w nim nie było, a ona miała dobry humor, pozwalała nam wchodzić do środka. Wówczas mogliśmy oglądać wszystko, co chcieliśmy, a nawet dotykać prawie wszystkiego, tylko za każdym razem za specjalnym pozwoleniem Alberty. Alberta, nim na cokolwiek wydała zgodę, strasznie się przy tym namyślała, a najbardziej lubiła, jeśli długo się ją o coś prosiło. Przyglądaliśmy się więc specjalnym wspornikom i rozłożystym stelażom pod wieńce, wolno nam było podnieść nawet okazałe ozdoby z połyskliwych czarnych piór, zakładane na uszy koniom zaprzęganym do pogrzebowego powozu. Ten powóz z czarnego lakierowanego drewna kosztował ponoć fortunę, jak twierdziła Alberta, ale dawno zdążył się zwrócić, gdyż chętnie go zamawiano. Konie wraz z woźnicą (uroczysty frak dla powożącego wraz z cylindrem również był w ofercie) wynajmowano gdzie indziej. Siedzieliśmy w tym powozie nie raz, choć zwykle kończyło się to kłótnią, bo przecież każdy chciał powozić choćby na niby, a nie beczynnienie tkwić w środku.

Alberta nie lubiła jeździć na rowerze, pluskać się w rzece, bawić się w podchody ani robić czegokolwiek innego, przy czym można było się choć trochę zmęczyć, za to „ceremonie” albo „mierzenie trumien” nie nużyły jej nigdy. To ona ustalała ich reguły, a także czas trwania zabaw i każdy (a mój brat w szczególności) musiał tego przestrzegać, co Alberta egzekwowała z żelazną konsekwencją. Wymagała posłuszeństwa, a wszelkie próby buntu tłumiała w zarodku, unosząc brodę, biorąc się pod boki i oświadczając: „Jeśli tak, to do widzenia,

ja się nie bawię”. To działało bez pudła i przystawaliśmy zwykle na wszystko, co wymyśliła, ponieważ Anielski Orszak krył istne cuda: od wyboru oprawy muzycznej (flecista, skrzypek, śpiewaczka) przez tekturowe buty, jednorazowe garnitury, a nawet szminki i barwidła do podmalowywania „klientów”, dlatego ostatecznie robiliśmy, jak chciała. Za to siostry Alberty, bliźniaczki, nie włączały się w nasze zabawy, nawet z nami nie rozmawiały, nie byliśmy zresztą pewni, czy komunikowały się z samą Albertą. Wiotkie i sine, o przezroczystej skórze i pałkowatych nogach, przywodziły na myśl dwugłową istotę wydobytą przez omyłkę z morskich głębin. Stanowiły swoje lustrzane odbicie i nawet głowami kiwały w tym samym momencie, porozumiewając się wyłącznie ze sobą i szepcząc sobie na ucho.

Anielski Orszak mieścił się w dużym oszklonym budynku przerobionym z dawniejszej szklarni niedaleko domu grubej Alberty i jej sióstr. To tu przyjmowano interesantów i eksponowano szeroki asortyment wszystkiego, co mogło być potrzebne do ostatniej posługi. A jeśli ktoś sobie wyobrażał, że pogrzeb polega jedynie na pochówku, to był w grubym błędzie, ponieważ pogrzeb był „prawdziwą ceremonią” i o jej wszystkich niezbędnych etapach wręcz uwielbiała opowiadać gruba Alberta. Przechadzała się między katafalkami dumna niczym pawica i demonstrowała, co i kiedy należało włożyć do trumny, o czym trzeba koniecznie pamiętać, a najlepszy komplement, jaki lubiła powtarzać, sprawiła jej babka Adela, mówiąc, że „najstarsza córka grabarza jest wręcz stworzona do tego interesu”. Była mojego wzrostu, choć niemal idealnie okrągłej figury, szybko się

męczyła, więc jej czoło zwykle błyszczało od kropelek potu. Ulubionym słowem Alberty było „porządne”.

– Ludzie szybko zapomną, jaki kto był za życia, bo ludzi jest po prostu za dużo. Od tego jest właśnie porządna ceremonia, aby tę ostatnią drogę każdy sobie porządnie zapamiętał.

Tak powtarzała, nas zaś, gdy układaliśmy się w trumnach z ekspozycji i wyobrażaliśmy sobie przy tym własny pogrzeb, interesowało najbardziej to, po kim ludzie będą najbardziej i najgłośniej płakać, a kogo najdłużej wspominać. O to sprzeczałyśmy się czasem zawzięcie. Marcel utrzymywał, że usługę „głośnego lamentu” albo „piewcy czyichś cnót” osobiście dołączyłby do oferty, gdyż zawsze znajdzie się ktoś, komu na tym będzie szczególnie zależeć. Anielski Orszak zaopatrywała w trumny stolarnia, w której Marcel miał później terminować, ale nim to się stało, przymierzaliśmy się po kolei do tych bardziej szykownych, „tylko niczego nie pobrudzcie”, i porównywaliśmy wrażenia. Pyszne zabawy w Anielskim Orszaku skończyły się z hukiem, gdy grabarz znalazł nas leżących w wystawowych trumnach, gruba Alberta dostała wówczas od ojca w skórę, a my kategoryczny zakaz wstępu do zakładu.

Wyżej na wzgórzu, w stronę domu Joachima, dróżka naraz się zwężyła, jakby skrzywione sztachety po obu jej stronach starały się wreszcie siebie dotknąć. Tędy się szło do mleczarki, mijając niczyje parcele zarośnięte dzikim bzem, a idąc, objęło się blaszaną kanką kolana, by dodać sobie odwagi. Każdy też modlił się w duchu, by i tym razem nie spotkać Palczastego. Podobno Palczastego widywano najczęściej wśród tych krzaków bzu i naprawdę nie wiedziałam, jak Joachim mógł

tak po prostu mieszkać w ich pobliżu. Ja bym chyba w ogóle nie mogła zasnąć.

– Stroni od światła niczym upiór. No i nie ma dziesięciu paluchów jak normalny człowiek, tylko dwanaście albo i trzynaście! Wyobrażacie sobie?! Po sześć albo siedem u każdej ręki. Babka widziała – zaklinała się Lili.

– Nie bucz, bo cię oskóruje Palczasty – powtarzała Lili jej babka. – I nie włócz się sama po próżnicy, bo go spotkasz.

Oprócz krzywych płotów, które przecinały niemal każdy fragment wzgórza, właściwie wszystko na Montmartre było nierówne, jakby mieszkańcom naszego kawałka świata, rzuconego między ulice Abbesses od południa i Caulaincourt od północy, odebrano potrzebę i dar jakiegokolwiek symetrii. Ściany zabudowań i ogrodzeń nie przystawały do niczego, odróżniając się własną krzywizną krytych papą dachów, zewnętrznych schodów prowadzących do dobudówek doklejanych na kolejnych piętrach, drewnianych szop kleconych byle jak, gdzie trzymało się kozy, drabiny oraz stare wiadra. Koślawe ściany domów smaliła za to równo i sprawiedliwie ciemna sadza z kopających zimą rur kominów.

Gdy byłam mała, nad zbieraniną *parcelles* górowało więcej drewnianych wiatraków, a ich ramiona zbierały wiatr, obracając się niespiesznie w rytm wschodów i zachodów słońca oraz mijających po sobie pór roku. Mielono w nich pszenicę albo kruszono kruszywa, tłoczono winogrona z przydomowych ogródków na lokalne wino, ale też wytłaczano ekstrakty z kwiatów na potrzeby manufaktur perfum w mieście, takich jak *Arômes* czy *Bouchard*. W cieniu wiatraków drzemały spichlerze

o obgryzionych z tynku ścianach, całe w szpetnych liszajach z zacieków i zgarbione do ziemi niczym zużyte dekoracje, wyrzucane na zaplecza teatrów w dziesiątej dzielnicy. Z czasem kruszące spichlerze rozbierano, a na zwolnionym skrawku ziemi prędko kiełkował kolejny dom. Wiatraki również opuszczały nasze wzgórze jeden za drugim, rozbierane na deski albo przerabiane na *guinguettes* – oberże i tawerny, sale do tańca i kabarety albo na artystyczne pracownie. Ich powolne skrzydła nie pasowały już do tętniącego rytmu miasta, były symbolem minionego czasu, spokojnego i pełnego krzaków bzów Montmartre.

Z miejsca, gdzie stał nasz dom, wychodziło się wprost na ubitą drogę, na której po ulewnych deszczach podeszwy butów mlaskały w grząskim błocie. Kawałek dalej, tuż za miejską pompą, można było już przeskakiwać po nierównościach bruku, na których odbijały się z brzdękiem obręcze kół wózków oraz taczek. Tam, gdzie zabrakło kocich łbów, lypały ciemne źrenice kałuż, odbijając tysiącem mętnych lusterek brunatne niebo. A im bliżej było miasta, tym bardziej gęstniały zwarte pierzeje domów, ściśnięte tak, jakby samodzielnie miały się poprzewracać. Boczne uliczki stawały się węższe, formując koślawe labirynty, i jedna z nich prowadziła do dziecięcego szpitala, pierwszego przystanku na mojej drodze.

Szpital dziecięcy mieścił się w dużym i białym budynku, kratami okien wpatrzonym w mizerny klomb. Tuż za klombem, od frontu, witała wszystkich gipsowa Matka Boska z bezradnie rozłożonymi rękami i w wyblakłym wianku na głowie. Za plecami świętej, na jasnym tynku, wykuto eleganckimi zgłoskami napis *Hôpital d'enfants*, który mijałam, by zbiec wąskimi

schodkami przez kotłownię do pomieszczenia gospodarczego. Tu na podłodze czekało na mnie to, co miałam zabrać tego dnia: ciśnięte w kąt szarawe prześcieradła, cerowane koce i poszwy upstrzone plamami każdej ludzkiej wydzieliny. Składałam je w równą kostkę, tak by w wiklinowym koszu zmieściło się jak najwięcej, aby nie trzeba było znów wracać tego samego dnia.

– Że ty się tych łachów nie brzydzisz – kręciła głową Lili. – Blee, palcem bym nie ruszyła.

Nie, nie brzydziłam się, nawet nie czułam ich fetoru. Nie zastanawiałam się nad tym albo może nie zdążyło mi to przyjść do głowy, przecież wypełniałam wiklinowy kosz, od kiedy mogłam go unieść. Od kiedy nakazano mi go nieść, a nie, broń Boże, szurać nim po ziemi, o co piekliła się Marta. Składałam więc sterty prześcieradeł, pledów, narzut, pieluch, koców i poszew, owijając je sfatygowanym pergaminem, i teraz mogłam ruszać nad rzekę. W dni, gdy nie odwiedzałam dziecięcego szpitala, szłam „do ludzi”. Odbierałam brudną bieliznę od „srających forszą burżujów”, jak nazywała ich Marta, od „zafajdanych paniątek z lepszych domów”. Zawsze mnie zastanawiało, że ich prześcieradła i wszystko, co łądowało w moim koszu, brudziło się tak samo jak u innych, mimo że pochodziło z lepszego świata. Świata z balkonami tonącymi w kwietnych kaskadach, z fasadami zdobionymi wymyślnymi fryzami, kamiennymi wieńcami albo kutą gęstwiną winorośli. Wnętrza „lepszych domów” oddziały od nas podwójne szyby, nieznające brudu i skryte za mięsistymi tkaninami, ich wejść strzegły od frontu zatrzymane w kamieniu twarze dawnych bóstw albo gibkie sylwetki mitycznych stworzeń o rozpostartych skrzydłach i znaczonych łuską ogonach.

Portal mojej ulubionej kamienicy, budynku na rogu o kremowej bryle, zdobiła głowa z kłębowiskiem żmij zamiast włosów. Za każdym razem nie mogłam się napatrzeć na ich rozwarłe paszcze z rozwidłonymi językami okalające twarz o dumnym wzroku, który kamiennym ciężarem spoczywał na przechodniu, obojętnie z której strony by stanąć. Dumna głowa lustrowała również i mnie sterzczącą na chodniku w nicowanej po wielokroć sukience, znoszonych butach, z wiklinowym koszem w dłoni. Miałam wrażenie, że spojrzenie tych oczu przeszywało mnie na wskroś, więc szybko przenosiłam wzrok na rozciągnięty na kamiennej wstędze podpis: „Gorgona Medusa 1870”, którego znaczenie zrozumiałam dużo później. Nim to się jednak stało, długo wpatrywałam się w ciągi fantastycznych znaków, których kształt znałam na pamięć i które przydawały hipnotyzującej twarzy tajemniczości, wymuszały należny jej respekt.

Stojąc na rogu, pod koroną żmij, krzyczałam donośnie: „Pranie!” albo „Przyjmuję pranie!”, i zwykle jedno zakłęcie otwierało któreś okno, wabiąc blade i chude lub tęgie i rumiane służące. Z każdą z nich rósł w koszu stos muślinowych fran i bielizny, przybywało poplamionych winem kap, stert jedwabnych pończoch i pantalonów, sztywnych gorsetów, elementów zdobionych sukien. Zabierałam je ze sobą nad rzekę, a gdy byłam pewna, że nikt nie patrzy, wodziłam opuszkami po szlaku misternych koronek suto zdobionych batystowe halki albo przesuwając pomiędzy palcami połyskujący materiał o półprzezroczystej przędzy. Nie, nie odważyłabym się nigdy żadnej z tych pięknych rzeczy na siebie włożyć, przecież nie należały do mojego świata, niemniej starałam się sobie wyobrazić, jak to by było

nosić na sobie coś tak idealnie wypracowanego, tak delikatnego? Coś, co muskałoby ciało miękką mgłą koronek, chłodziło skórę śliskim jedwabiem...?

Myślałam o tym nieraz, ale przede wszystkim bardzo się pilnowałam, by niczego nie zgubić. Ważne było, aby żadnej sztuki nie zapodziać, nie pomieszać czyjejs bielizny, w niczym się nie pomylić, nie zaplątać czegoś z cudzą garderobą. Zwykle wyszywane monogramy ułatwiały sprawę, gdyż zdobyły nawet chustki do nosa, ale przecież wystarczyła chwila nieuwagi, niedokładne przeliczenie, właściwie różnie mogło być, toteż zbierałam pranie uważnie, dokumentując w myślach każdą partię, i jednorazowo zabierałam odzież jedynie z kilku domów na danej ulicy, oddzielając starannie każdą partię prostokątem pergaminu. Każda zguba, głupia pomyłka, tylko z roztargnienia, oznaczałaby kłopoty, ot, choćby brak zarobku, zwłaszcza że plotki w tej części miasta powtarzano sobie chętnie. Też z uwagi na plotki należało dobrze żyć z bladymi i milczącymi, a także tęgimi i rumianymi służącymi, które na takie jak ja patrzyły z pogardą, a częściej omiały niewidzącym wzrokiem, zupełnie jakby mnie również utkano z półprzezroczystej przędzy.

Dzielnica lepszych domów kończyła się bulwarem, którym dochodziłam nad brzeg Sekwany. To tu, na połyskującej w słońcu rzece, cumowały ociążałe barki pachnące zatęchłym mułem, zbutwiałym drewnem i jeszcze czymś skisłym. W ich cieniu, niczym dziecinne zabawki, kołysały się rybackie łódki o niedbale pociągniętych smołą kadłubach i wystrzępionych wiosłach wciśniętych w zardzewiałe dulki. Do środka każdej barki jak w trzewia morskiego monstrum prowadził chybotliwy

trap, a zaraz od progu wdychało się mdłe opary mydlin, kwaśny pot pracujących kobiet i gryzący chlor. Na barce każdego witały zgarbione plecy, zwieszane od wczesnego rana nad olbrzymimi baliami, gdzie nużące godziny wypełniało nieustanne tarcie i namaczanie, przerywane ciężkimi westchnieniami. Nikt tu na nikogo nie czekał ani nikogo nie pozdrowiał, z nikim się nigdy nie witano, aż do przerwy na posiłek nie wymieniano ze sobą nawet słowa. Bo po co? Wszystko, co należało, przekazano sobie dużo wcześniej, a gadanie kosztowało czas i energię, zresztą o czym można było w kółko międlić językiem? U każdej przecież było podobnie, jakby się zmówiły. Dzieci i zmartwień pod dostatkiem, wszystkiego innego za mało. Kobiety na barce łączyło więc wspólne milczenie i nawykłe do ciężkiej pracy ręce, które tarły kolejne płachty o blaszane lub drewniane otwory tar, wyżymały kolejne sztuki, odkładając je z płaskim niecierpliwym gestem na rosnący stos po to, by sięgnąć po następne. Kobiety na barce ocierały przedramieniem spocone czoła i drewnianymi *crocodiles* przewracały bulgoczącą bieliznę, stale kipiącą w baniastych kadziach, która potem białała w pękatych kotłach spowitych w kłęby pary niczym w pogańskich gusłach. Na barce każdy dzień dzielił na pół dzwonek nadzorcy. Najpierw obwieszczał południową przerwę, a dużo, dużo później kończył dniówkę. Śpiew dzwonka witano z westchnieniem ulgi, rzucano z odrazą i zniecierpliwieniem to, co trzymano w rękach. Śpiew dzwonka pozwalał wyprostować plecy, oderwać wzrok od burych mydlin, byle gdzie przysiąść, by „odpocząć nogi”, zjeść wczorajszą brioszkę, czerstwą bułkę z kawałkiem sera, których nie dojadło dziecko.

Wszystkie więc wyczekiwały głosu dzwonka, tylko nie ja. Dla mnie dzwonek oznaczał bolesny skurcz żołądka, bo lada dzień miał zaśpiewać też dla mnie. Tylko patrzeć, jak „stara Rosa kipnie”, a ja mam zająć jej miejsce przy cynowej balii, pierwszej po prawej od komina. Tak zostało postanowione, bo tak uzgodniono z nadzorcą: „miałam się wreszcie zająć poważną robotą”, a nie tylko ganiać z koszem. W moim wieku przecież Marcel od dwóch lat zbijał trumny. A nieco później zezwolono mu samodzielnie obsługiwać droższe zlecenia, zamówienia ze szlachetniejszych gatunków – mahoni lub czarnych dębów, które w jego zakładzie polerowano aż do gładkiej i lśniącej politory. Pozwolono mu też przyuczać czeladników, których cierpliwie instruował, pokazując, jak nadawać listwom kształt warkoczy, mocować pozłacane uchwyty albo wymyślne okucia kosztownych ozdób w kształcie łbów gryfów.

– Głupie te ludzie – śmiała się czasem Lili. – Myślą, że w paradnym kufrze specjalnym wejściem do nieba trafią, a pod ziemią robaki każdego jednak gryzą.

Joachim i stary Barret pracowali w zakładzie Raberra i co dzień obaj pokonywali blisko pięć kilometrów, by zdążyć na siódmą, przed otwarciem. Zdarzało się też, że Joachim szedł sam. Tak było, gdy Joseph Barret spędzał noc w rowie.

– Gdyby nie ty, chłopcze, gdyby nie ty, to twój stary dawno nie miałby u mnie czego szukać – powiedział mu raz najstarszy majster, a Joachima bynajmniej nie ucieszyły te słowa.

Zakład Raberra, w którym pracowali, nie był może największy w Paryżu, ale z pewnością najbardziej znany, bo w nim cięto bloki trawertynu na ściany bazyliki Sacré-Cœur, z czego

monsieur Raberr był dumny jak paw. Niemal każdy paryski kamieniarz chciał terminować, choćby zaczepić się u Raberra, bo to podobno przynosiło zawodowe szczęście.

Lili wraz z babką szyły, a w dni targowe stały na zmianę przy kramie z rybami, przy czym Lili nienawidziła i szycia, i ryb. Rybami się brzydziła, bo śmierdziały jej mułem, a szycie nudziło ją śmiertelnie i bardzo tym przygnębiała swoją babkę. Ja zaś, poza tym, że biegałam z koszem, od zawsze okropnie zazdrościłam Lili złotych i prostych włosów, księżycowej skóry, a przede wszystkim babki Adeli. To było jak potrójna wygrana na loterii, uśmiech fortuny w trzech odsłonach – nic więcej do szczęścia nie można było sobie wymarzyć. Wyobrażałam sobie, że gdyby Adela była moją babką, to w podskokach szłabym z nią na targ albo chwytając za igłę, byleby tylko ktoś się o mnie tak troszczył i zamartwiał na śmierć. A Lili miała i babkę Adelę, i jej ciągle doglądanie na co dzień, na wyciągnięcie ręki i może dlatego wciąż przewracała oczami.

I jeszcze był Ernest, nasz przyrodni brat, o którego troszczyła się Marta i który właściwie nie robił nic. A właściwie robił, co mu się podobało, i nikt nie wiedział, gdzie znika na całe dni.

– Jeszcze się napracuje – ucinęła rozmowy na ten temat Marta. – Dajcie mu spokój.

I dawaliśmy Ernestowi spokój, przyjmując z cichą ulgą, że zwykle zjawiał się w domu późnym wieczorem, niezmiennie milczący. Trzymał się uparcie z boku, odgradzony szczelnym kokonem własnego świata, który chronił go przede mną, Marcelem i przed wzajemną niechęcią, która kiełkowała od dnia, gdy się zobaczyliśmy. Od deszczowego popołudnia, gdy wyrósł

w naszych drzwiach. Nigdy nie widziałam, aby coś Ernesta cieszyło, nie jestem nawet pewna, czy umiał się uśmiechać, zwykle łypał spode łba, wiecznie czemuś przeciwny, najeżony i czujny, gotów do niechybnego ataku. Taki był od zawsze, od chwili, gdy papa wprowadził jego oraz Martę do naszego życia.

– A ty się go nie boisz, Marie? – zagadnęła raz Lili, gdy wracaliśmy pewnego targowego wtorku z kramu, gdzie cały dzień wraz z babką owijały w ucięte kawałki gazet leszcze i karasie.

– Kogo? – spytałam, choć przecież jasne było, o kim myślała.

– No tego całego Ernesta. Mnie na przykład przechodzą ciarki, gdy tylko kręci się w pobliżu albo gapi się w moją stronę. Za każdym razem gapi się tak przenikliwie, dziwnie... Jakby było w nim... jakby siedziało w nim coś złego...

Te słowa mnie zatrzymały, ponieważ padły z ust Lili, która była uosobieniem beztroski, często śmiała się w głos i rzadko widziała w czymś problem, a teraz na jej twarzy nie błąkał się nawet cień uśmiechu.

– Nie myślę o tym.

Kopnęłam leżący patyk, ponieważ powiedziałam nieprawdę, o Erneście nie dało się zapomnieć. Był niczym kamyk w bucie i od kiedy sięgałam pamięcią, ja również czułam się przy nim nieswojo. Emanował jakąś wieczną pretensją, nieskrywanym wyrzutem, ot, na przykład dlatego, że przyszło mu z nami mieszkać. Od początku zbywał nas obojętnym milczeniem, a Marcela wkurzał tak, że chyba jedynie ze względu na papę nie sprął go na kwaśne jabłko. Z czasem jednak przywykliśmy z Marcelem, że Ernest gdzieś tam jest albo się pojawia, i nauczyliśmy się go nie dostrzegać, omijać oraz ignorować jak

plamę po rozlanym barszczu, której mimo starań niczym nie da się wywabić.

– Cóż, może i dobrze, że nie zaprzątasz sobie nim głowy, Marie, bo czasem się zastanawiam, jak wytrzymujecie z takim dziwadłem pod jednym dachem. Bóg mi świadkiem, w życiu nie spotkałam nikogo podobnego.

Skinęłam głową, bo cóż mogłam dodać? Mój przyrodni brat był jak wspomnienie ponurego snu, właściwie od początku był ponurą niespodzianką.



Pewnego dnia po posiłku papa odsunął od siebie miskę, otarł wąsy i oznajmił:

– Zamieszka z nami pewna bliska mi kobieta, ponieważ właśnie przyszedł na to najwyższy czas.

Po tych słowach spojrzeliśmy z Marcelem na siebie zdziwieni i przez dłuższą chwilę siedzieliśmy cicho, wreszcie Marcel mruknął coś pod nosem i wzruszył ramionami, za to ja naprawdę się ucieszyłam. Może papie będzie z tą kobietą choć trochę weselej, może nie będzie wychodził tak często do Czarnego Barana?

– Dziewczyna potrzebuje matki, a my gospodyni, synu. Wszystkim nam będzie lżej. – Papa odchrząknął i znów potarł wąsy, bo zawsze je pocierał, gdy się czymś denerwował, a ja oczyma wyobraźni ujrzałam obok siebie uśmiechniętą istotę. Siedziała wraz z nami w białej letniej sukience, takiej na niedzielne wyjścia, krusząc bułkę i łamiąc ją na równe części.

Uśmiechała się łagodnie, jak *Maman*. *Maman*, którą pamiętałam jak przez mgłę, a najwyraźniej te chwile, gdy nachylała się nade mną, nucąc słodkie i smutne melodie, które miały zapraszać dobre sny. Niedługo potem *Maman* nie zapraszała żadnych snów, nawet przestała o własnych siłach podnosić się z łóżka, ponieważ sama zmieniała się w cień i nie przypominała dawnej siebie. Ten cień leżał całymi dniami na leżance koło piecyka i narzekał, że brak mu powietrza, więc otwieraliśmy drzwi na oścież, to znów marudził, że jest zbyt lodowato, więc wrzucaliśmy do piecyka, co było pod ręką. W nocy rozrywający kaszel nie pozwalał nikomu spać. Wtedy też cień pokłócił się z papą, co zapamiętałam dobrze, bo niedługo po tym zostaliśmy we trójkę.

- Jak mogłeś być tak lekkomyślny, Paul?
- A niby jak chcesz wyzdrowieć, Pauline?
- Ale tak wyrzucać pieniądze w błoto?
- Niby skąd mogłem wiedzieć, że nie przyjdzie?
- A widziałeś kiedyś doktora tutaj na wzgórzu? Jesteś naiwny jak dziecko... Chcę, żebyś mi obiecał, że jak już...
- Nie, i nie będę ci obiecywać takich rzeczy, Pauline.

Wkrótce potem *Maman* już nie było, a ja długo zastanawiałam się, co takiego chciała, by papa jej obiecał. I czemu się nie zgodził, skoro była tak chora? A nuż to by jej pomogło? Pomogło wyzdrowieć? Ale tak się nie stało, papa niczego nie obiecał i zostaliśmy we trójkę: ja, Marcel i on. Papa od powrotu z cmentarza poszarzał i skurczył się jeszcze bardziej, a potem zamilkł, by żalić się pijackimi skargami przez nerwowy sen po sobotnich wieczorach w Czarnym Baranie.

Jakiś czas później babka Adela, ucząc mnie i Lili przyrządzania potrawki z warzyw i zagęszczania jej les nouilles, kładzionymi kluskami z mąki, oznajmiła, że mężczyźnie się przykrzy tak żyć zupełnie bez kobiety. Dobrze więc by się stało, aby papa sobie kogoś ugadał, a jeśli już tak szczęśliwie się zdarzy i kogoś nam przedstawi, to żebyśmy z Marcelem uszanowali ten wybór, choćby nam nie pasował, bo my wyfruniemy z domu, a papa mógłby sobie życie ułożyć. Nie wiem jak Marcel, ale ja nie miałam nic przeciwko, bo chciałam, by w naszym domu przestało być tak strasznie smutno i żebym nie tylko ja szorowała naczynia i podłogę czy zagniała co sobota ciasto na brioszkę. To też powiedziałam babce Adeli, która się uśmiechnęła i pogłaskała mnie po głowie, a potem dodała, że papie musi być tym bardziej przykro, bo ma mnie stale przed oczami. A przecież przykro tak człowiekowi oglądać skórę zdartą ze zmarłej, no i że całkiem niemożliwe, by nikt mi dotąd tego nie mówił...

– Gdzie tam podobna! Ty jesteś kropka w kropkę w tę niešťczęsną Pauline! No przyznaj, Lili, patrz na nią: te same ciemne oczy w migdał, jednako włosy jak smoła, nawet piegi na nosie.

Odtąd każdego wieczoru przyglądałam się sobie w lustrze uważnie i za każdym razem zastanawiałam się, jak teraz mogła wyglądać *Maman*? Jak jej było tak całkiem samej w małym grobie, wciśniętym w najdalszy róg cmentarza pod grabem, w trumnie, którą specjalnie dla niej zbił papa?

Nad tymi mącznymi nouilles babka Adela oznajmiła mi również, że jestem już całkiem dorosła. Dziwnie się wtedy poczułam, mimo że dotąd byłam przekonana, że stanie się dorosłą osobą będzie jednym z najprzyjemniejszych zdarzeń w moim

życiu. Zakładałam bowiem, że wreszcie ktoś mi przestanie mówić, co mam robić, sama będę decydować, kiedy kłaść się spać, i z pewnością jako dorosła osoba będę robiła więcej przyjemniejszych rzeczy. Spojrzałam więc zdziwiona na babkę Adelę, bo przecież miałam przynajmniej połowę mlecznych zębów. Może babka Adela o moich mleczakach nie wiedziała, ponieważ dodała, przyglądając się bacznie, że „gdy człowiek traci matkę, to na zawsze przestaje być dzieckiem i robi się całkiem dorosły, gdyż tak to już jest na tym świecie”.

Rzeczywiście, musiałyśmy jakoś niepostrzeżenie dorosnąć razem z Liliane, bo tego samego wieczoru Lili zdradziła mi w sekrecie, że postanowili z Marcelem wziąć ślub. Pobiorą się w Sacré-Cœur, jak tylko skończą osiemnaście lat, i wreszcie wszyscy staniemy się jedną szczęśliwą rodziną, co również oznacza, że obie będziemy najprawdziwszymi siostrzyczkami.

Niedługo później na zawsze skończyły się nasze pyszne zabawy.

asystę. Jego rodzice nie żyją, znaleziono go na ostatnim patrolu, nikt nie wie, jak długo siedział sam...

– A to jest właśnie Adelka, córeczka Lili, jest ze mną, od kiedy... od kiedy Lili nie ma już z nami.

Spojrzał na mnie szybko, ale nic nie powiedział.

– Cześć, Adelko. – Nachylił się nad wózkiem, a potem się odwrócił i uśmiechnął do mnie. – Czyli wreszcie jesteśmy w komplecie. Możemy wracać na wzgórze.

KONIEC

Spis rozdziałów

Prolog	
Paryż, grudzień 1918	9
Rozdział 1: Marie	
Montmartre 1907	13
Rozdział 2: Marta	
Październik 1911	41
Listopad 1912	50
Rozdział 3: Wojna	
Montmartre, maj 1914	59
Sierpień 1914	62
Rozdział 4: Artur	
Grudzień 1916	73
Luty 1917	83
Rozdział 5: <i>Madame Juliette</i>	
Marzec 1917	93
Kwiecień 1917	99
Rozdział 6: Lili	
Montmartre, maj 1917.	111
Paryż, czerwiec 1917	125
Rozdział 7: Artur	
Sierpień 1917	139
Wrzesień 1917.	152
Rozdział 8: Théodor	
Grudzień 1917	171
Rozdział 9: Ernest	
Styczeń 1918	183

Maj 1918	189
Wrzesień 1918.	192
Rozdział 10: Doktor Kellner	
Listopad 1918	211
Grudzień 1918	222
Styczeń 1919	246
Rozdział 11: Joachim	
Montmartre, luty 1919	271
Rozdział 12: Lili	
Montmartre, marzec 1919	299
Rozdział 13: Artur	
Paryż, kwiecień 1919	311
Rozdział 14: Doktor Perret i doktor Kellner	
Maj 1919	329
Rozdział 15: Liliane	
Czerwiec 1919	345
Rozdział 16: Joachim	
Lipiec 1919	361